

ROZMAITOŚCI.

N^{ro}. 28. dnia 14. Lipca 1824.

O PYRENEACH.

(pr. P. K. Weidmana, z Niemieckiego.)

I.

Z Bajony do Bareges.

Tłómczek mój był już gotowy, z pierwszym zabłyśkiem iutrenki postanowiłem opuścić Bajonę i iechać do Tuluzy. Chęć przyjaciela moiego Vogera, towarzyszyć mi w téj wędrownicy była powodem, iż nie mało nałożyłem drogi, aby dogodzić życzeniu, które zaraz od pierwszój chwili stąpienia na francuską ziemię, myśl moją zaprzątnęło. Umyśliłem być zrobić wycieczkę między doliny zachodnich i średnich Pyreneów. Tylko nieumiejętność dyalektu mieszkańców téj okolicy, wstrzymywała mnie, żem tego nie uskutecznił. Zastąbszy cokolwiek w Bajonie, uwziąłem się być czas téj słabości poświęcić nauce mowy baskijskiéj i bernieńskiéj; ale talent mój nie odpowiedział chęciom. Moim zdaniem, nikt nie jest w stanie nauczenia się tego dyalektu, jeżeli w tamtéj okolicy sam nie będzie. W całem świecie nie ma zapewne takiéj mowy. Jak to Skaliger z wielką naiwnością wyraża: »Powiada mi, że Baskiyczycowie między sobą rozumieją się, lecz ja temu nie wierzę.«

Przyjaciel mój atoli, Vogere, dziecko od brzegów Garumny, mówił temi wszystkiemi dyalektami, iak kraiowiec. Oświadczenie więc iego towarzyszyć mi w téj pielgrzymce, uchyliło przeszkody

i posłużyło mi dokonać tego, za czém już dawno wzdychałem.

Paszporty nasze daliśmy ieszcze raz do poświadczenia, spodziewając się, iż nam może kilka razy przyydzie ziemię nawarryyską i arragońską odwiedzić, gdzieśmy się Alkadów hiszpańskich (burmistrzów) obawiali, którychto Panów opisano nam, że są bardzo gniewliwi, a było naszym zwyczajem nawet potrzebą obchodzić się z nimi iak naylepiej.

Jak już tedy mówiłem, tłómczek był gotów, ale mój towarzysz podróży miał ieszcze żegnać się z wujaszkami i ciotulami bez liku, a że był nieodrodnym synem gadatliwych nad Garumnianów, całe więc popołudnie za ledwo mu na pożegnania familijne wystarczyło. Ja nie mając nikogo z kimbym się żegnał, przebiegłem dokoła to przyjemne miasto, byłem ieszcze raz w kościele katedralnym nasycić oko wspaniałością iego budowy i wybornemi posągami Świętych; poszedłem na plac *de Grammont* uymuiący piękności, nakoniec do domu balowego i drugiego pod nazwiskiem: *Reunion aux trois Couronnes*. Ogodz. 8. wróciłem do domu. Niezadługo nadszedł i mój Gaskończyk, cały wysilony po odbytych przeprawach a za nim dwóch służących z potężnemi zapasami szynek bajońskich, czekolady, winna i t. d. w to wszystko opatrzył go kochana familija, aby nie zgłodniał w Alpach. Pytałem się go, czyż nie zamówił bryki pod kuchnią, nie widziałem albowiem innego środka, iakby ten zapas żywności wziąć z sobą. Jakoż sam się nakoniec śmiał z tego i przyznał

się mi, że tylko dla pozbycia się natarczywości troskliwéj familii, musiał od nich przyjąć te magazyny.

Na to przystałem chętnie, bo bawiać długo w Bajonie wiedziałem o tém, że tam nie można było nieprzyjąć podarunku składającego się z szynki. I w samém istocie w Bajonie umieją wybornie przyrządzać szynki; wszystkie pasibrzuchy we Francyi i za Francyją błogosławiają ich pamiętkę. Ztądto pochodzi, że tu z takim upodobaniem bawią się chodowaniem nierogatego bydła, a w zabawach można często słyszeć długie rozprawy o cnotach i niecnotach tego miłego zwierzęcia. Upodobanie to w czasach dawniejszych do wyższego posuwano stopnia. Pewna dama z czasów Ludwika XIV. z podziwieniem donosi nam w swoich pamiętnikach, że widziała kobiety bajonkie, iak idąc z wizytami nosiły na ręku prosięta. Dzięki Bogu już ta moda ustata, ale że była, dowodzą niektóre familyne obrazy, i tak np. na portrecie prababki teraźniejszego burmistrza widziałem prosię z pasową wstążeczką.

Wieczór przeminał na rozmowach towarzyskich, po raz ostatni spoczywaliśmy w bajonkich łózkach, a z pierwszym rankiem opuściliśmy to miasto. Piękna Bajona ze swoimi zamkami, z świetną rzeką Adour i z cienistemi polami rozciągała się powabnie przed naszym wzrokiem. Majestatycznie wznosiły się przed nami szczyty i piramidy zachodnich Pyreneów. Piękna pogoda sprzyjała naszej podróży. Przy samych rogatkach miasta zaczynały się trzy gościniec. Pierwszy ciągnie się przez St. Jean Pied de Luz do Irunu, drugi przez góry do Pamplony, trzeci zaś przez St. Jean Pied de Port do Roncevalles, tegoto przez rycerzy Karola Wielkiego sławnego miejsca. Udaliliśmy się ostatnią; droga nasza szła przez St. Palais i Navarreins do Oleronu, gdzie myśleliśmy zanocować, z kąd dopiero przez dolinę d'Aspe mieliśmy przestąpić pierwsze granice Pyreneów.

Zacznę opisywać samą podróż moją, a dopiero na końcu niniejszego artykułu umieszczę ogólne uwagi nad położeniem, wysokością i t. d. gór pyrenejskich.

Bardzo piękną widzieć można okolicę iadąc z St. Palais do Navarreinu, albo Navarreix, iak wieśniacy w swojej grubéj mowie wymawiają. Szczególnie zwraca na siebie uwagę olbrzymie pasmo gór, które w pięknych zarysach zniżają się ku dolinie. Widok gór pyrenejskich nie może być porównany z widokiem żadnych europejskich Alpów. Nigdzie one nie są tak awanturniczo-przepaściste i gładkie, i nigdzie za pomocą słonecznego światła nie mają takich odmian w kolorach. O 4. godzinie wyiechaliśmy z Bajony i odtąd pasmo Alp okazywało się nam co godzina w odmiennéj farbie. Z różowéj, pomarańczowéj, fioletovéj i błękitnéj wpadało w żółtą farbę, białą lub ciemną, a to ile razy pojedyncze obłoki przesuwały się po słońcu. Ta odmiana farb sprawiała czarujący widok.

Nie śpiesząc się w podróży, koło samego południa przybyliśmy do St. Palais. Tu zatrzymaliśmy się, ale tylko tyle, ile potrzeba było czasu do zjedzenia obiadu, ponieważ mieliśmy jeszcze do przebycia większą połowę drogi. Upał był zresztą dokuczający i przekonał się, że nie zaedziemy do Oleronu, celu naszej podróży. Przypadkiem oddaliśmy się zupełnie od tego miejsca. Już słońce zniżało się znacznie ku morzu biskajskiemu, gdyśmy przejeżdżali przez pewną wioskę między Nawarrynem i Oleronem. Tu spostrzegliśmy dom uwieczony kwiatami, a drużyna muzykantów takie przed jego bramą wygrywała trele, że mi aż zielono i niebiesko robiło się w oczach. Zaleciłem mojemu Gaskończykowi, ażeby się wypytał, co to było. i dowiedzieliśmy się (czyli raczy ón się dowiedzieć, bo ja nic nie rozumiałem), że to było wesele, które dniem wprzód wytrąbiano. Wesele — wyraz ten brzmiał dosyć interessownie w moich uszach, i tyle wymogłem na moim Piladesie, że

postanowił nie iechać już na nocleg do Oleronu, lecz w téj wiosce mieliśmy zanocować, dla widzenia nazajutrz uroczystości weselnych. Najawwszy sobie uszewca pokójk wprowadzie nie bardzo obszerny, ale dosyć czysty, udaliśmy się na spoczynek.

Skoro świt poszliśmy przed dom weselny, gdzie dosyć już było ludzi. Muzykanci ciągle przegrywali i zdawało się, że przez całą noc nie mieli pokoiu, a iak u nas młodzież (to jest chłopcy uliczni) w takich zdarzeniach tańcować zwykła, tak tu młodzi Bearnczykowie wywiali się z kiiami do taktu muzyki. Zwyczajnie obyczaje wiejskie pomyślałem sobie. Starsi siedzieli na ławkach, które tutaj przed każdym domem stoiały. Wystroione dziewczęta bawiły się z chłopcami po dziedzińcu. W pojedynczych grupach stali Baskiyczkowie z dolin sąsiednich. Ludzie ci piękny sprawiają widok. Wszystko okazuje, że pochodzą od dawnych Kantabrow. Są po naywiększój części olbrzymiów budowy ciała, ich fizyonomia pełna wyrazu, a ubiór prawdziwie malowniczy. Oprócz tego byli dzisiay w gali. Mieli na sobie krótkie szkarłatne kamizelki, czarne aksamitne spodnie, niebieskie sukienne czapki wysokie, kończate, obszywane złotem (*Monterasy*), czarne skurzone pasy i sandały.

Dopiero koło dziewiątój przybyli przysięgli (sędziowie) weszli do domu weselnego, z kąd naprzód Panamłodego wyprowadzili. Miał na sobie błękitną otwartą kurtkę ze srebrnymi guzikami, czarne sukienne spodnie, pasową kamizelkę i zwyczajną czapkę Bearnów, która srebrzem wyszywaną była. Potem wyprowadzono Pannę młoda i cały szereg udał się do kościoła. Naprzód szli muzykanci, za nimi przysięgli, potem czterech mężczyzn z pikami, zapewne stróże, albo coś podobnego. Za tymi szli Państwo młodzi, Panna młoda była dosyć zgrabną dziewczyną. Ubrana zaś w kaftanik, który był oraz gorsetem, miała także na sobie krótką

fałdowaną spodniczkę. Włosy nosiła ułożone w warkocz i poprzeplatane wstążkami. Za Państwem młodem postępował oyciec oblubienicy, za nim obie dwie matki Pana młodego i Panny młodej (Pan młody nie miał już bowiem oycy). Obie matki śmieszny miały ubiór; ubrane były w takie same gorsety, co i oblubienica, lecz pod niemi miały bardzo długie suknie, a na głowie czypki iak wieże, z których białe chustki wisiały. Za niemi szły młode dziewczęta z wieńcami z kwiatów, a za temi młodzianie, ludzie starsi i goście baskiyscy, których olbrzymie facjaty zamykały szereg, iak straż z hayduków złożona.

Tym sposobem weszli do kościoła. Obrządek trwał z godzinę. Naprzód śpiewano pieśni, potem odprawiało się nabożeństwo, a nareszcie szlub nastąpił. Xiądz mówił dosyć długo i czule, iak uważałem, ponieważ wszystkie kobiety rozpyływały się we łzach. Po uroczystości wszyscy zgromadzili się na dwór przed kościołem, i tam robili rozmaite rzeczy. Naprzód szedł Pan młody do wszystkich chłopaków, z każdym pomówił słów kilka i otrzymywał za to w podarunku owoce, lub inne iakie drobnostki. Pannie młodej nic nie dawano, chociaż także chodziła do każdego. Nadeszło potem dwie starych kobiet z wielkimi koszykami, te poodbierawszy wieńce od dziewcząt, pokładły je w kosze i odeszły. Dwóch starych wieśniaków przyniosło w koszach świeże kwiaty. Nowożeniec rozdawał je dziewczętom, a te pozakładały sobie za gorsety. Poczem cały ten szereg powrócił do domu weselnego. Ponieważ byliśmy obcymi, przysięgli zaprosili nas na wesele, na cośmy chętnie przystali. Bankiet weselny był bardzo znakomity. Ogólnie poznaliśmy na tém weselu, że w wiosce panował dostatek. Przy obiedzie nie brakowało toastów, których nie rozumieliśmy ani ja, ani mój przyjaciel Gaskończyk. Tu nastąpiła nowa scena. Weszli muzykanci i przyprowadzili z sobą

trefniał bardzo komicznie ubranego. Zbliżywszy się do Panny młodej, dał jej w podarunku wielki bukiet z kwiatów, potem stanął na środku pokoju i zaczął śpiewać, a po każdej zwrotce tańczył. Robił przytém tak nadzwyczajne grymasy, iakich ieszcze nigdy nie widziałem. Podobał się całemu zgromadzeniu.

Po obiedzie zaczęto rozmaite zabawy na otwartém miejscu przed domem. Między innemi passowano się także. Młodzi Bearncykowie pokazywali w tém ćwiczeniu wiele zręczności. Taniec wcale mi się nie podobał. Nie widziałem tu ani cienia wesołości tańców alpejskich, ani w melodyi, ani w skokach. Muzyka była taką, iak unas, kiedy grają niedźwiedziom, tanecznicy tańczyli wprawdzie z francuzką lekkością, lecz czynili przytém bardzo poważne miny. Nie zobaczysz tu ani owego klaskania w ręce, ani wybuchu wewnętrznej radości, ani wdziwania czapki na bakier. Jedną tylko figura używana w sąsiednich hiszpańskich tańcach była powabną. Tanecznik kłękał na iedno kolano, a tanecznicę okrażały go w przyjemnych uplotach. Byłto bardzo piękny obraz. Poważni Baskiycykowie stali się także uczestnikami powszechnej radości i zaczęli tańczyć coś podobnego do rycerskiego tańcu. Taniec ich bardzo mi się pięknym wydał. Bohaterskie postaci mężów kantabryjskich sprawiały widok niewymownie malowny. Ogólnie wzięwszy, cała ta scena była malowniczą. Mnogość ludu ubranego w świetnych, a dla mnie w obcych sukniach, wesołość tej całej zgrai, piękny letni wieczór, dumne szczyty skał pyrenejskich, ozłoczone magicznie pałającymi promieniami słońca zachodzącego w morze z całą swoją okazałością, a oprócz tego wszystkiego błękitne południowe niebo żadną nie zasępione chmurą, ach! byłto prawdziwie czarowniczy widok, a wzrok mój poglądał z radością na to widowisko.

Dopiero późno w noc przestali się ci poczciwi ludzie ochocić, i my nareszcie

udaliśmy się do skromnej naszej izdebki na spoczynek. Tymczasem nie wiele miałem spokoyności. Koty ze szczurami przez całą noc toczyły przed naszym pokojem wojnę, a iak wiadomo pierwsze w takich przypadkach nie obeydą się bez głośnego krzyku. Ta przyjemna wrzawa trwała aż do rana, a że z pierwszymi promieniami słońca mieliśmy w dalszą drogę wyruszyć, łatwo wystawić sobie można, że nie bardzo przyjemny sen miałem.

Koło 10. godziny przed południem stanęliśmy w przyjemnym miasteczku Oleron. Sądziłem, że się w niem nie długo zabawiemy, ale mój towarzysz podróży miał tu list oddać do iednej ze swoich ciotek. Niktby nie uwierzył, ile ma krewnych Gaskończyk. Cóż się dzieie? Oto ta Pani ciotka byłato znakomita Dama Oleronu. Ledwie ze skóry nie wyskoczyła z radości, widząc swojego ukochanego siostrzeńca, a miała z nim do pomówienia o wielu interesach familiynych. Mocno jej na tém zależało wiedzieć, czyli Ludwiś jej kuzynek dostał już zęby, dla czego rozchwiało się wesele kuzynki Amalii i t. d. Ani wątpić, że tak ważnych wiadomości nie można w dwóch godzinach opowiedzieć, musiałem chcąc nie chcąc zostać się na obiedzie. Wprawdzie przy obiedzie nagadano się już do woli o interesach familiynych, lecz ieszcze nie było ani wzmianki o odieździe, ta dobra kobiecina nie chciała nigdy na to pozwolić, kiedyśmy ieszcze nie widzieli piękności i osobliwości miasta Oleronu. Nic nie pomogło wzbraniać się. Postanowiłem więc na to nie pozwolić, ażeby mój towarzysz podróży sam oddawał listy, ieżeli by ich miał przypadkiem więc przy sobie, i zdałem się na los szczęścia. Oglądaliśmy więc te sławione osobliwości, które wszystkie nie bardzo były znakomite; np. była tam fontanna z dosyć złemi posagami; przechadzka, po której przechadzało się ze dwadzieścia osób, co na nas oczy wytrząszczali, iak na iakie dzikie zwierzęta,

ratusz i t. p. Kościół farny był najinteressowniejszym przedmiotem. Jestto gmach piękny i starożytny, mający w wielkim ołtarzu bardzo dobry obraz: Wniebowzięcie Najs. Panny przez de la Fasse. Po téy przechadzce udaliśmy się przed bramę miejską, gdzie zaięchaliśmy ekwipaż Pani ciotki, którym mieliśmy obieżdzać okolice miasta i ięchać na kawę do wioski nazwiskiem Dulette. Z zaskoczeniem patrzyłem na ten ekwipaż, ileż od śmiechu wstrzymać się mogłem; ani wątpić, że pamiętał jeszcze Ludwika XIV.; na drzwiczkach były tam pomalowane różne pasterskie narzędzia. Woznica ubrany był w galowym stroju z warkoczem, który spadał mu aż niżej pleców, a poiażd był tak długi, że woznicę zupełnie z oka straciłem. Ta ogromna machina obracała się tak zręcznie, iak nasze wozy z piwem. Za tyle nudnych chwil nagrodzony byłem w oberży prawdziwie dobrą kawą i paradnym widokiem na Pyreneie. W wieczorem powróciliśmy do miasta, gdzie nas czekała partya *l'Hombra*, po którym udaliśmy się do sypialnych pokoiów. Nasze łóżka były drugim tomem wspomnionego ekwipażu. Dla chcącego uczyć się łożenia po górach były one przygotowawczą nauką, bo aż się nam kręciły głowy oglądając z takiej wysokości na podłogę. Ciężkie firanki okrażały nas naokoło, na których wszystkie prawie ogrodowe iarzyiny były powyszywane. Machina ta była u góry otwartą, przez otwór widzieliśmy paskorzeźby sufitu sali, które wyobrażały Judytę ucinającą głowę Holofernesowi.

Niegorzety spało się w tém puchowym morzu, do czego przyczyniało się nie mało utrudzenie dnia poprzedzającego z nudoty wynikające.

(Cię dalszy nastąpi.)

DO EMILII.

Nie wątpię Emilio droga,
Iż cię kocham iak swe życie,
Przy tobie mi chwila błoga...
Miłość w sercu chowam sarycie.

Nie zważaj na smutne chwile,
Ani na czoło schmurzone,
Lecz miłości ufaj siłę,
Wszak masz zwycięztwa koronę.

Chciwość sławy wzywa męża,
By zbierał w polu zaszczyty;
Wspiera go siła oręzia,
I honor w sercu wyrzuty.

Srogość wojny wszystko niszczy,
I ciężkie sadyie rany,
Lecz prawdziwa miłość błyszczący,
Nie zna przygód, nie zna zmiany.

Tak imnie namiętność durzy,
I posępne chwile rodzi,
Jednak pośród samy burzy
Myśl o tobie byt mi słodzi.

F...X.

DROGA DO SZCZĘŚCIA.

Każdy człowiek ma z natury wrodzoną chęć w sobie szukania szczęścia; każdy odmienną biegnie drogą, prowadzony nadzieją, że stanie u tegoż mety; lecz bardzo iest mała liczba tych, którzy prawdziwie znaleźć zdołali szczęście. Szczęście bowiem nasze nie zawisło od tego, byśmy je osiągnęli, lecz od przekonania uszczęśliwionego, że nim iest istotnie. Cóż bowiem pomoże, że nam otaczający zazdroszą losu, gdy my nie poznamy tęgoż darów, lecz przeciwnie zawsze nam coś do zupełnego szczęścia nie dostaie. Tyle filozofów, tyle mędrców pisało i pisze, mówiło i mówi o szczęściu, a każdy go inaczej maluje, podług farb iakie mu iego wyobraźnia nastęcza. Ten szczęście umieszcza w pośród worów napełnionych złotem, ów w mierności; ten każe się mu

mieścić w gmachach pysznę budowy, ów pod sfońmianą strzechą; ten wśród rzędu półmisków napełnionych smacznemi potrawy, ów go szuka w skromném pożywieniu z owoców ziemnych; ten go umieszcza na dnie puhara, ów nad zdroiem czystę wody; ten w obcę każe go szukać ziemi, ów w obwodzie własnego ogrodu; ten w wolnym i rozwiozłym stanie, w rozpasaniu się na wszystkie hańbiące czyny, ów na łonie cnotliwę rodziny; ten w pośród szczęku oręża, ów u ołtarzów Boga; ten w próżniackiem i nieczynném życiu, ów w oddaniu się naukom i wiadomościom; ten w uciemieniu i gnębieniu bliźnich, ów w dobroczynności. Gdzież więc iest prawdziwe szczęście? Oto w głębi serc naszych Bóg dobroczynny chciał ie umieścić, wskazał nam w przykładach i naukach swoich niezawodną do tegoż drogę, którą gdy poydziemy, pewnie ie osiągniemy. — Nie szukamy szczęścia w przedmiotach nas otaczających, nadaremna byłaby praca nasza; nie pokładamy ufności w ludziach, taby nas pewnie zawiodła; rzućmy się na łono religii, słuchaymy zawsze ię głosu, a szczęście, którego kosztować będziemy, nikt nam odiać nie zdoła. Ludzie byli, są i będą ludźmi, to iest stworzeniem nayniewdzięczniejszém, nie składamyż w ich rękach szczęścia naszego. Wszakże wszystkie ciosy, wszystkie cierpienia, wszystkie niesprawiedliwości, iakich doświadczamy, są dziełem ludzi, a możnaż więc im zaufać? Nie przestawaymy iednak przez to czynić im dobrze, kochaymy ich iak bliźnich, wspieraymy ich w potrzebach, uymuymy się za prześladowanemi, cieszymy strapionych, naprowadzaymy błądzących, to nam religia, to nam obowiązek ludzkości, to nam serce nasze nakazują, i od tego zawisło szczęście nasze. Kochaymy cnotę nad wszystko w świecie, umiemy do nię cenę przywiązywać, iest ona tarczą naszą przeciw wszystkim pociskom, iakie się nam w życiu wydarrzyć mogą. Prawda, że cnota nie ochroni

nas od potwarzy złośliwych ludzi, lecz uczyni nas oziębłemi i nieczułemi w podobnych zdarzeniach, bo własne przekonanie o naszę niewinności, natchnie nas wzgardą ku oszczercom, i litość w nas wzbudzi nad smutnym stanem, któremu się oddali. Nie pokładaymy szczęścia w piękności i bogactwach, pierwszą czeka los rozwinięty w całym blasku róży, drugie iedna chwila zniweczyć może. W iakimbądź stanie lub wieku iesteśmy, możemy znaleźć szczęście, ieżeli nie sobie do wyrzucenia nie mamy. Są prawda wypadki w życiu, w których ani cnotliwe życie, ani spokoyne sumienie nie zdołają zmniejszyć smutku naszego, utrata np. ukochanę osoby, długa i przykra choroba i t. d. mogą zachwiać naymężniejszy umysł; w tym przypadku szukaymy pociechy w religii, rzućmy się u stóp ołtarza powszechnego i dobroczynnego Oycy, prośmy go o pomoc, a upewniam, że spokoyniejszy będziemy. Pomniymy, że śmierć drogię nam osoby, iest tylko krótkiem rozłączeniem się z nami, poprzedziła nas z powrotem do oyczyzny, wkrótce połączemy się z sobą nazawsze. Ach! te religijne przekonanie o nieśmiertelności duszy, o nagrodzie iaką dobrzy osiągną, osusza ży smutku i tęsknoty. Jeżeli złożeni iesteśmy długą chorobą, bądźmy cierpliwymi, wszak ta przyspieszy koniec wszystkim troskom i ciuiskom; zresztą, bóle ciała choćby naydotkliwsze, mnię dręczą, iak bóle duszy, byle dusza nasza zdrową była, ból ciała nigdy nie zaszkodzi, a bądźmy pewni, że nad siły nasze nigdy Bóg na nas cierpień nie zysła. Z sprawiedliwych wyroków Naywyższego, więcę na tym świecie doznaiemy złego, iak dobrego, więcę prześladowania, iak sprawiedliwości. Ciało nasze podlega słabościom, a serce błędom; otoczeni iesteśmy fałszywymi przyjaciółmi, utracamy ukochane osoby, widzimy owoce prac naszych zniweczone w iednę chwilę, i często z dobrego bytu zostaiemy wystawieni na nędzę, a iednak chwila śmierci iest

dla nas nayokropnieyszą. Zapytamy się nędzarza, długą chorobą zmęczonego, i ogołconego z wszystkich wygód i pociech życia, czyli pragnie śmierci? »nie« odpowie »chciałbym ią iak naydaley odsunąć od siebie.« — Cóżby się dopiero działo, gdybyśmy w życiu naszym ciągłego szczęścia i radości doznawali? i gdybyśmy żadnych trosk nie znali? Ach! wtedy sama myśl o śmierci nayokropnieyszą byłaby katuszą, zatruciłaby wszystkie pociechy, trapiłaby nas nieustannie, a obraz ię okropny w pośród przepychu bogactw i wylanja się na wszelkie roskosze ścigałby nas nieustannie i dręczył.

Ciągłe zatrudnienie umysłu i ciała wiele się także przyczynia do naszego szczęścia. Gdy głowa próżnuie w samém wyobraźni niczém użyteczném niezajętą, czynimy się nieszczęśliwemi; próżniactwo zaś ciała, chwile życia czyni długimi, wszędzie nam nie dobrze, wszędzie nie przyjemno, bo nie umiemy korzystać z czasu; im zaś się więcej zatrudniać będziemy, tém mniej czasu zabędzie do rozmyślenia o naszych kłopotach, które często niespokojna wyobraźnia powiększa. Usiłujemy ile możliwości uszczęśliwiać władzy naszey podległych, dawaymy im ciągle z siebie wzór pocziwości, łagodności i dobroci, patrzymy przez szkło zwiększające na cnoty, a przez zmniejszające na błędy bliźnich naszych, a tym sposobem choć nie osiągniemy zupełnego szczęścia (gdyż go nie ma na świecie), pozyskamy szacunek bliźnich, a pamięć nasza mile wspominać będzie.

An..... Kre.....

LOTERYIE W AMERYCE POŁNOCNEY.

(z Dziśta: Moje podróże i t. d. pr. L. Gall.)

Stawianie na loteryją nierównie więcej jest w Ameryce upowszechnioném iak gdzie indziej. Przedsiębiorcy loteryi, tym, którzy pieniądze potrzebują,

ofiarują prawie darmo summy od 10 do 100,000 dollarów. Cyfry długości na cale tak są powabnemi dla czytelników, iż zaledwo onych pociągowi oprzeć się mogą, a po części obiecują one, że znaczny grosz, wykupiający przedmiot do wygrania stawiony, obrócić znowu można na publiczny zakład. Obraz bogini szczęścia w wielkości naturalnej, z pełnemi rogami obfitości, unosi się nad wykwinnym wchodem domu; w pośród całej onegoż wysokości jest literami łokciowemi napis: Prawdziwe bióro szczęścia (*Truli Lucky office*). Taki sam lub jeszcze powabniejszy widać pod dachem; wszystkie szyby niższego piętra, na tle zieloném, czerwoném, niebieskiém lub złotém, okazują ostatni raz wyszłe liczby i ceny; nawet temu, który już stracił odwagę i z spuszczonemi oczyma przechodzi, bogini szczęścia na ziemi leżąca, wlewa pociechę i nadzieję.

»Któż minąć zdoła wykwinny dom wieyski NN.« było raz w doniesieniu loteryyném, »hy nie odezwiała się w nim chęć mienia podobnego? Tak, niech się do nas uda, los w naszey bogatej loteryi, sto tysięcy, które wyliczemy, skoro się skończy ciągnięcie, zrobią go panem najpiękniejszey maletności.«

»Ciężkie czasy zniewalaia wielu z naszych współobywateli do niezwyčajnego ograniczenia się« — inne znowu zawiera doniesienie: »Nic nie może temu zaradzić, iak szczęśliwy traf w kole bogini szczęścia, dla tego trzeba usłuchać naszey rady.«

»Miss N.« zapowiada jeszcze inne, »iak wiadomo, wniosła swemu mężowi posagu 60,000 dollarów; właścicielka losu w naszym instytucie może swego oblubieńca 100,000 dolarów zobowiązać.«

Lub »P. N. zaledwo miał 1000 doll. i w dziesięciu latach zrobić 100,000 dollarów; winien ón to swę wytrwałę czynności i tysiącnyim innym okolicznościom; cóż przeszkadza każdemu z naszych kochanych obywateli (*fellow Citizens*), że 10 dollarami, za iednym szc zę-

śliwym razem i w następnym tygodniu, bez mozółu, zostać może podobnie jak P. N. bogatym?»

Gdy się ciągnięcie rozpocznie, wtedy cena losów podnosi się na rzecz przedsiębiorcy od 10 często do 100 dollarów.

DO NIESTAŁEY.

Sliczna Pani, skłóciłaś me życie spokojne,
I prawdziwie kozacką mnie wydałaś wojnę;
Co to spadłszy z nieba, nieprzyjaciół ziszkli,
Wzięli wiesz, podpalili; a sami uciekli. —

A. —

WIADOMOŚCI

dla towarzyskiego pożytku.

Ze Lwowa. — W dniu 8. b. m. wyjechał z tąd JP. Parayss Entymolog w towarzystwie JP. Alexandra Zawadzkiego w okolice Karpat. Ostatni, oprócz badań entymologicznych przedsięwzięcie botaniczne i mineralogiczne, i odprowadzi JP. Parayss przez Karpaty aż do granic Ziemi Siedmiogrodzkiej. Rezultaty ich badań będą czytelnikom udzielone.

Z Podola. — W miasteczku Szarogrodzie, Gubernii podolskiej, Powiecie iampolskim, d. 23 Kwiet. r. b. między 4tą a 5tą godziną z południa, z małych chmury, idące od strony południowej, wypadł piorun i ugodził w kościół katolicki. Jak ślady pozostała dała widzieć, ugodził najprzód przy samej kopule w tylną stronę facyaty kościoła, tam gzyms sławnszy, wpadł pod dach, pod ten sam gzyms do rogu dachu przyczółkowego nad wielkim ołtarzem, i tam wyrwawszy nieco gontów, wziął kierunek po krokwi, tę strzaskał, i poszedł między wiązanie dachu, które także dużo pogruchotał. Z tamtąd otworzył, nie szerszym w diametrze nad cal ieden, gdzie na żelaznym drucie sznur wisiał, utrzymujący lampę srebrną przed obrazem Pana Jezusa, wpadł do środka kościoła, nie nie uszkodziwszy sklepieniu, tylko je osmaliwszy, w tém miejscu drut rzeczony zupełnie strawił, i łańcuszki u lampy porwał. Dwa obrazy w górze u wielkiego ołtarza, SS. Floryana i Wójciecha, olejno malowane, z ram wyrwał i portagał, poszedł między obraz Pana Jezusa niżej firanki go zastaniające, tam żadnej nie zrobił szkody, tylko z obrazu spadły korona srebrna i przepaska, oraz vota; niżej pokazały się dwa ślady z ohudwoch boków ołtarza, z rozdzielonego jego płynu, a w takim kształcie spadł na cyboryum dość kosztownej roboty, i to prawie całkiem zruynował, nie tknąwszy puszek, w których *Sanctissimum* było. Metalowe lichtarze wszystkie pogiął, porozrzucił, a w dwóch rogach mensy przedołtarzowej trzy obrusy spalił, na ramie przedmensonowej *antependium* zwaney, snycerskiej roboty wyłaczanej dwie smugi okopcenia w dwóch rogach zostawił. Nakoniec wszystkie okna w całym kościele, których sztuk 17, tak zruynował, że wszystkie nowe dawać potrzeba. Długo dosyć dym okazywał się. Po otworszeniu kościoła, znale-

ziono pełno dymu z tak mocnym zapachem siarki, że nikt nie odważył się wniknąć do środka. Kościół ten wymurowany przez Jana Zamoyskiego 1590 r., ras pierwszy tak smutnego doświadczył ciosu.

Z Warszawy. — Nadzieie większy połowy Panien nie przyszły d. 23. z. m. do skutku; z niecierpliwością oczekiwały willi Sgo. Jana, aby wianki puszczane na Wisłę wywoziły rychło wesele, lecz dżesz padający przez dzień cały, a czasami ulewnie, nie ustał i wieczorem, a do tego gramot odezwał się, co przestraszyło dziewczęta, zostały więc w domu, oczekując w roku przyszłym upragnioney pogody. Jednak było z parę set takich Panien, co nie zważając na ulewę, pod parasolami pośpieszyły nad Wisłę, i z trwogą wrzuciły w iędy burty pięknie uwite wianki; wroźba była bardzo pomyslna, a Panny chociaż zmokłe, lecz zupełnie zadowolnione powróciły do domów. —

Przesąd dawnych rolników na Żmudzi, w liście piątym przez Bernarda Konnor, Angieleczyka, lekarza Króla Jana III. do Karola Townsend także Angieleczyka, względem ówczesowego stanu naszej oyczyny pisanym, znalazł się między innemi ta okoliczność: „Że Żmudzianie pola swoje nie żelaznemi, lecz drewnianymi pługami orzą, chociaż tam rola jest dosyć tłusta i tęga. Ten zwyczaj statecznie i upornie zachowują, że od niego żadnym sposobem odwieść się nie dadzą. Tak dalece, że gdy ieden Starosta tamtejszy pługi z żelazem wprowadzić postanowił, a żniwa po takię uprawie mnięj pomyslnie nastąpiły, w ówczas ten nieszczęśliwy przypadek samę zmianę pługów przypisywali, aż dla zapobieżenia rozruchowi, dawne drewniane pługi przywrócić musiał.“ Toż samo jest w kronice Gwagnina, dawniejszy nad listy Konnora (patrz księgę V. część III. Opisanie Xięstwa Żmudzkiego). Z tąd dla rolników ta może być przestroga, że w teraźniejszym czasie wzrostu rolnictwa, gdy wynalazkami machin prace ułatwiają, aby ani do nowości nie mieć przesądny odrzuty, ani nierozważnego onę chwytania się, dobrze uczyni, kto w mierze nim się nowości chwyci, zważy wprzód stan swego mienia, położenie miejsca i wszechstronne okoliczności; albowiem gdy kto mając 3 włók ziemi przysposobi sobie taką machinę na iakięj dobrze wychodzi mający włók 30, tedy straci, bo drogosc machiny nie zdoła się opłacić. —